



Andrzej Tadeusz Kijowski: Trzecie odzyskanie mediów

Andrzej Tadeusz Kijowski 03-12-2008, ostatnia aktualizacja 03-12-2008 08:42

Nowa arystokracja dąży do tego, by kontrola medialna i władza realna podlegały procesowi dziedziczenia. Posłów, dziennikarzy, prezydentów wykonujących swoje „mandaty” w drugim pokoleniu coraz liczniejsze można podawać przykłady – pisze publicysta



autor zdjęcia: Mirosław Owczarek

źródło: Rzeczpospolita

[+zobacz więcej](#)

„Telewizja nasza!” – zakrzyknęła 25 września 1989 roku „Gazeta Wyborcza”, informując, że Tadeusz Mazowiecki mianował Andrzeja Drawicza prezesem Radiokomitetu. Ale słowo „nasza” rozumiane przez ówczesnych czytelników „Gazety” uogólniająco – jako: „polska”, „społeczna”, może nawet „antykomunistyczna” – dla establishmentu opozycji skupionego wokół ówczesnego organu „Solidarności” („Nie ma wolności bez Solidarności») – miało o wiele bardziej konkretny, polityczny, a z czasem także handlowy wymiar.

Godzi w każdego

Obecnie po raz trzeci w ostatnim dwudziestoleciu obserwować możemy próbę przeforsowania zmian, które „ich” media mają uczynić „naszymi”. I po raz trzeci łączy się to ze zdobyciem władzy

przez tzw. naszych.

Pierwszym było „odzyskanie” mediów w latach 1989 – 1992. Zniesienie cenzury, reglamentacji papieru i monopolu dystrybucji RSW Prasa. Drugim nieudana próba ataku na ich niezależność przez reformatorów ustawy medialnej skupionych wokół rządu Millera. To wszystko, co – jakkolwiek zdecydują sądy – historycy po wsze czasy kojarzyć już będą z grupą trzymającą władzę i aferą Rywina. Po raz trzeci odzyskać media, a w szczególności radio i telewizję publiczną, stara się obecny rząd.

Ale nie tylko. Propozycja zniesienia art. 212 k.k. w części dotyczącej oszczerstw prasowych wyszła wszak z przeciwnej strony. A przecież, jeśli się chce wolności, trzeba przyjąć i odpowiedzialność. Dlatego w momencie zniesienia cenzury po roku 1989 znaczenia nabrały prawo prasowe i kodeks karny z art. 212 przewidującym kary dla tych, którzy wolności słowa nadużywają.

Art. 212. głosi: „§ 1. Kto pomawia inną osobę, grupę osób, instytucję, osobę prawną lub jednostkę organizacyjną niemającą osobowości prawnej o takie postępowanie lub właściwości, które mogą poniżyć ją w opinii publicznej lub narazić na utratę zaufania potrzebnego dla danego stanowiska, zawodu lub rodzaju działalności, podlega grzywnie, karze ograniczenia albo pozbawienia wolności do roku.

§ 2. Jeżeli sprawca dopuszcza się czynu określonego w § 1 za pomocą środków masowego komunikowania, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat dwóch”.

Niektórzy powiadają, że ten paragraf ogranicza wolność prasy, że godzi w dziennikarzy. Azaliż!? Ten artykuł godzi w każdego, kto bezpodstawnie, ale z wykorzystaniem mediów, oskarży drugiego: zwoła konferencję prasową, wygłosi oszczerstwa, opublikuje je w Internecie, sprawi, że żadne sensacje gazety powtórzą lekkomyślne słowa. Tą osobą może być przełożony, burmistrz, premier, zawistny kolega. I nie dziennikarz będzie odpowiadał za zrelacjonowanie zdarzeń, lecz ten, kto fakt prasowy stworzył!

Przeszkadza politykom

Niebawem, z jakim spokojem projektodawcy poselskiego przedłożenia z 4 lipca 2008 r. stwierdzają: „powstanie negatywnego wyobrażenia w świadomości osób trzecich oraz poczucia moralnej krzywdy osoby, której dobro naruszono, jest zjawiskiem w zasadzie nieodwracalnym. Całkowite usunięcie skutku upowszechnienia za pomocą środków masowego przekazu informacji nieprawdziwej zdaje się obecnie niemożliwe. Czynnikiem łagodzącym te dotkliwe dla poszkodowanego konsekwencje jest jedynie bezpośredni i bliski związek czasowy pomiędzy opublikowaniem materiału prasowego i sądowym rozstrzygnięciem w postępowaniu o ochronę dóbr osobistych”.

Nic podobnego! Co mi z tego, że będę mógł wymóc szybką reakcję, jeśli za fałszywym oskarżeniem wypowiedzianym przez kogoś publicznie pójdzie równie kłamliwe doniesienie, np. do prokuratora o wymaginowanych nadużyciach. Prasa będzie kryta. Minie rok albo półtora roku, zanim prawomocnie oczyszczony będę mógł... po raz kolejny złączyć swoje nazwisko z oskarżeniami w prasie i przechowującym jej informacje Internecie.

O nie! W atmosferze ogólnonarodowej nagonki zwykłym obywatelom pozostaje jako obrona jedynie surowe ukaranie i napiętnowanie oszczercy. Fakt, że art. 212 sytuuje obmowę jako przestępstwo ścigane z kodeksu karnego. Trudno się więc nie zgodzić, że zdecydowanie negatywnym stanowiskiem rządowym przedstawionym miesiąc temu, 5 listopada 2008: „projektowana depenalizacja zniesławienia i zniewagi mogłaby doprowadzić do eskalacji zachowań niepożądanych z punktu widzenia obowiązującego porządku prawnego”.

Chęć zniesienia art. 212 k.k. dowodzi wspólnego przekonania rządzącej kasty, że media są przez nią już na tyle kontrolowane, iż ich wyroki mogą się stać w praktyce niepodważalne

Słuszne to stwierdzenie. Nie należy jednak przed pierwszym czytaniem tego dokumentu w Sejmie zapominać, iż stanowisko rządowe w równej mierze krytykuje wszystkie elementy przedłożenia opozycji nt. „Zmian prawa prasowego oraz niektórych innych ustaw”. Ma więc charakter polityczny i może się stać ofiarą politycznych przetargów. Czytając zaś prasę, trudno było nie spostrzec, że projekt przeniesienia oszczerstw w sferę ochrony jedynie cywilnoprawnej podobał się prawie wszystkim politykom.

Art. 212 k.k. przeszkadza bowiem politykom. I to politykom wszelkich maści. Obrzucając błotem siebie nawzajem, politycy – wszyscy politycy – coraz częściej krzywdzą przy okazji otoczenie. A to otoczenie: księgowi, lekarze, urzędnicy – nie weźmie udziału w telewizyjnych połajankach, po których nic już do końca nie wiadomo. Otoczenie może co najwyżej pójść do sądu. Rzecz jasna niezawisłego. Za złe słowa zażąda surowych wyroków.

Pitera zmiesza Ziobrę

Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Członkowie elity piętnują się wzajemnie, palą na stosie, urządzają inkwizycyjne sądy. Ofiary z tego grona są jednak obecnie raczej wirtualne. Cezar zabijał, Borgia truła, skazywano na banicję, za restauracji pojedynekowano się namiętnie. Dziś co najwyżej jakaś Pitera zmiesza z błotem pewnego Ziobrę, a każdy z Kurskich innego premiera spostonuje.

Ponieważ pojęcie honoru dawno przestało w polityce obowiązywać, trup ściele się dziś gęsto. Jednak powaleni powstają, zmieniają plac i rodzaj broni, lecz pozostają idolami areny. Niczym w grze komputerowej ludzie mediów (zarówno dziennikarze, jak i politycy) mają kilka istnień. Dla elit są zresztą inne prawa. Tu zadbano o szybkie wyroki wydawane w 24-godzinnym trybie wyborczym. Ktoś kogoś naobraża, potem przeprosi, za rok i tak już nikt tego nie będzie pamiętał. Człowiek mediów sobie poradzi – ktoś napisze, że ukradł: To on mu odpisze, może nawet opublikuje odpowiedź w Internecie: zajrzycie w Google, u, przeczytacie trochę złego, ale i wiele dobrego na temat osoby publicznej.

Inaczej zwykli ludzie. Dla nich artykuł prasowy oparty na poszlakach czy zwyczajnym kłamstwie, jakiś odprysk znalezienia się w orbicie politycznego kacyka może się okazać końcem życia

zawodowego. Można do śmierci nie oczyścić się z tego, co jakiś podlec nagada. Jaki bowiem normalny obywatel ma czas i środki, by wodzić się po cywilnych sądach latami, gdy ktoś nakłamię, a prasa to powtórzy? Jakie szanse na obronę ma uczciwy człowiek, któremu jeden szkalujący go artykuł prasowy może – przechowywany dziś w Internecie latami – przekreślić karierę?

Nowa klasa społeczna

Ale czy komukolwiek jeszcze o tego przeciętnego obywatela chodzi? Wszyscy już wiedzą, że prawie nikomu! Ludziom współczesnej polityki nie chodzi ani o obywateli, ani nawet o naród. Chodzi im wyłącznie o nich samych. A ściślej – jakby powiedział marksista – o ich interes klasowy. W blasku jupiterów politycy i dziennikarze tworzą dziś wspólnie nową media-polityczną klasę społeczną. Nie ma premiera, który nie redagowałby kiedyś pisma. Każdy naczelny redaktor czuje, że nosi prezydencką buławę w plecaku.

Nowa arystokracja dąży do tego, by kontrola medialna i władza realna znalazły się w rękach tych samych elit i podlegały procesowi dziedziczenia. Posłów, dziennikarzy, prezydentów wykonujących swoje „mandaty” w drugim pokoleniu coraz liczniejsze (nie tylko zresztą w Polsce) można podawać przykłady. Ta nowa klasa społeczna – wiele na to wskazuje – pragnie się teraz uwłaszczyć na tym, co pozostało z mediów publicznych.

Histeria, jaka zapanowała w mediach, gdy Irlandczycy odrzucili traktat unijny, pokazała, że współcześni dziennikarze i politycy kwestionują istotę demokracji. Odmawiają szeregowym obywatelom Europy: Francuzom, Holendrom, ostatnio Irlandczykom (pewnie i Polakom, gdyby nas o to w plebiscycie zapytać!), tym samym obywatelom, którzy w drodze referendum zaakceptowali poszerzenie wspólnoty – prawa zatrzymania elit w ich niepohamowanym marszu po władzę.

Adam Michnik w komentarzu „Gazety Wyborczej” z 14 czerwca 2008 niechybnie wskazał winnego. Irlandzkie elity media-polityczne otrzymały odeń czerwoną kartkę, bo nie umiały zmanipulować swego społeczeństwa.

Logika terroru

Chęć zniesienia czy osłabienia mocy art. 212 k.k. dowodzi wspólnego przekonania tworzącej się kasty, że media są przez nią już na tyle kontrolowane, iż ich wyroki mogą się stać w praktyce niepodważalne. To dowód przeświadczenia, że w istocie gazeta ani telewizja nie wyda dziś wyroku prasowego bez płynącego od władzy lub ze strony opozycji – zawsze jednak politycznie zaakceptowanego – przyzwolenia.

Media politycy zdają się tkwić w przekonaniu, że sojusz drugiej (wykonawczej) i czwartej (medialnej) władzy daje im nieograniczoną moc ferowania wyroków. W tej sytuacji trzecia (sądownicza) władza zdaje się w praktyce bezradna. Jaki bowiem wyrok wydany po latach procesu zdoła zmienić kapturowo ukształtowany osąd medialny!? Bezradny sąd jest zbędny. Skoro więc wyrok sądu nie zmieni opinii nagłośnionej przez media, nie ma sensu – według naszych władców – truć im życia i kwestionować raz upowszechnionych opinii.

Jest w tym logika. Ale to już logika terroru. Logika, która prędzej czy później doprowadzić musi do całkowitego zwątpienia obywateli w pseudodemokratyczny mechanizm. Do kolejnej „naszej” rewolucji. Buntu przeciwko waszej telewizji, waszej demokracji, waszej władzy i waszym wyrokom, które przyjdzie zmienić w wyniku przejęcia władzy, uzyskania kontroli nad mediami, które – jak to one – za winnych uznają przegranych, rację przyznawszy zwycięzcom.

Autor jest publicystą i menedżerem kultury. W latach 1992 – 1995 współtworzył Nową Telewizję Warszawa w prywatnej sieci Polonia 1. W latach 2001 – 2002 był dyrektorem Centrum Monitoringu Wolności Prasy przy Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich

Rzeczpospolita